

Ich trzech i dziewczyna

Eugeniusz Paukšta



Eugeniusz Paukšta

ICH TRZECH
I DZIEWCZYNA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-27-2

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

(I) Początek w rudym kolorze

Było tu zawsze nieco spokojniej i ciszej, dlatego wybierali ten zakątek plaży, możliwie najdalej od jazgotu nie oliwionych, hałaśliwych rowerów wodnych, pisku dziewcząt, pokrzykiwań sprzedawców lodów i okazyjnych pamiątek.

Niebo, wyblakłe w tym żarze, jak źle ufarbowany materiał, wisiało wysoko, z rzadka tylko na skłonach horyzontu poutykane postrzępionymi cumulusami.

Od morza wionęło silniejszym podmuchem, zatrzepotała na wysokim maszcie chorągiew ostrzegająca przed niebezpieczeństwem kąpielii. Drobiny piasku uderzały o twarze.

Wysoki chudzielec powiódł wzrokiem za rozkołysaną w biodrach dziewczyną w bikini.

— Danki wciąż jeszcze nie ma — rzucił do dryblasza kompan o włosach przyszczyżonych na jeża.

— To u nas tylko w soboty tak wczesny fajrant... Oni są na finiszu, inwestor ustalił już termin fety otwarcia, a tymczasem wyszła na jaw fuszerka, czegoś tam zabrakło, mają stracha. Ciągną na dwie zmiany, nawet w niedzielę chcą tyrać.

— Aleś ty, Lutek, dokładnie zorientowany — chudzielec przyjrzał się koledze z dezaprobatą.

— Ramona, Ramona, jak słodko imię twoje brzmi... — zanucił Pazoła tęgo podfałszowując. — Tamta fryga zrobiona na rudo znów drze się i piszczy, jakby ją kto w ukropie gotował.

Z wody, bijącej wzmożoną falą o brzeg, dziewczyna wydierała się piskliwym głosem. Słyszeli jej wrzask już kilka razy od chwili, gdy znaleźli się tu przed dwoma godzinami.

— Cześć, przyszłości architektury. Ledwie się wyrwałem z tej Łeby od swoich starych... Co wy tak heroicznie, bez żadnego kota w pobliżu? Nie umiecie wejść w kołobrzeski styl? Kurza twarz, nogi spiekłem jak na patelni. Nie mogliście to umieścić się bliżej? — przywitał obu kompanów Florek Stawski.

— Chłopcy, z nią coś naprawdę niedobrze. — Szymon poderwał się z miejsca, wpatrując się w morze.

— Z rudą? — leniwie przeciągnął się Lutek. — Widać, że wpadła ci w oko... No pewnie, nie ma Danki, trzeba się więc jakoś pocieszyć. Ej, Szymek, co ty?

Jednym susem stanął na nogi i pognał za przyjacielem. Widział sam teraz, że to już nie przelewki. Ruda tonęła, jej piski przestały być tym razem idiotyczną zabawą. Trzepocząc rozpaczliwie rękami, zanurzając się pod nadbiegające grzebienie, mocowała się nieudolnie z nagle objawioną wrogością morza.

Fala odboju, niebezpieczna nawet dla dobrego pływaka, odrzuciła rudą daleko od brzegu, na ostro schodzącą tam w dół głębinę. Jeszcze ostrzejsza fala windowała ją na powierzchnię, ręce dziewczyny desperacko próbowały odepchnąć napór wody, ale nieubłagana głąb ciągnęła i wsysała. Dłoń znowu zatrzepotała, mignęły rude włosy.

Szymon z rozpędu skoczył do wody i płynął, to wyskakując podrzutami całego ciała nad fale, to poddając się im i zezwalając, by przepływały nad nim. Nie widział już ostatnich desperackich prób tonącej, nie widział jej samej, zatrzymując w pamięci jedynie miejsce, w którym dopiero co się znajdowała.

Widzieli za to wszystko Lutek i Florek, którzy nadbiegli nieco później nad brzeg. Porozumieli się wzrokiem i również skoczyli do wody. Na piasku za nimi gromadził się pęczniący tłum.

— Tonie ktoś?

— E tam, byłby ratownik... Pewnie jakaś zwariowana zabawa.

— Ratownik niedawno gdzieś poszedł.

— Tonie, tonie! Ta ruda, co tak powrzaskiwała. Widzicie włosy... już jej nie ma. Nie

poradzą, poszła na dno...

Szymon rwał długimi wyrzutami ramion. Wyniesiony nad fale, wzrokiem szukał rudzielca, jak określał dziewczynę. Ale na morzu, poza spienionymi grzbietami, niczego nie było widać. Przeszył go lęk, że przybędzie za późno, bądź co bądź spory kawałek, przy takiej fali trudno się płyć. I wtedy nagle mignęła przed nim ruda plama. Już niedaleko. Wzmógł wysiłek. Najwyżej parę machnięć ramieniem... Gdzieś chyba tutaj? Ale teraz pusto w tym miejscu. Czyżby już pociągnęło dziewczynę na dno? Trzy razy podobno topielec wychyla się na powierzchnię...

Wyskoczył nad falę, zaczerpnął mocno powietrza i znurkował. Skosem szedł w dół, wytrzeszczając oczy do bólu. Jakżeby się teraz przydała maska, okulary do nurkowania. Widzialność słaba, zbyt skotłowane wszystko na górze. Może trzeba szukać jej bardziej w bok, w prawo? Płucom ciężko, chwila, zbraknie powietrza. Jej nadal nie ma, zielonkawo, żadnego bielejącego na tym tle kształtu. Nie da już rady, może za następnym zanurzeniem powiedzie się lepiej. Wypłynąć, prędzej wypłynąć, bo we łbie aż łupie...

Jeden zaledwie oddech, drugi, znowu pod wodę. Fala niesie najsilniej dołem, parę minut i nie zdoła już pomóc dziewczynie. Chyba tym razem jeszcze bardziej na prawo, musiał się przedtem mylić. Zielonkawo, ani punktu zaczepienia dla wzroku. Czyż naprawdę może się nie udać, ma to dziewczynisko utonąć? Tam jakby coś jaśniejszego. To nic, że płuca zdławione, że czerwone kręgi przed oczyma mieszają się z wyraźnie pęczniejącą już bielą, z majaczącym kształtem ludzkiej sylwetki. O Boże, jak dławi! Złapać ją, ciągnąć za sobą na wierzch, do powietrza, do słońca.

Nic już nie widział. Odruchowym, zdesperowanym ruchem wyrzucił ramię przed siebie, zacisnął palce. Złapał coś miękkiego i oślizłego. Włosy, te rude włosy. Rude, rude, kręgi czerwone, czarne, rude, płuca pękają, jakże daleko do tej powierzchni, a dziewczyna straszliwie ciężka, wstrzymuje, hamuje, puścić ją zatem, ratować przynajmniej już chociaż siebie.

I jeszcze mocniej zacisnął dłoń na włosach.

Fala chlusnęła mu prosto w twarz, w rozwarte usta, zamiast powietrza w krtani wdarła się woda. Zakrztusił się, ale od razu złapał oddech, zaraz i drugi, mocniejszy. Wolną dłonią siekł wodę, pomagał sobie nogami. Jeszcze oddech, jeszcze... Czarne płyty, czerwone i rude rozplływały się, oddalały. Mógł myśleć, mógł oddychać, żył. A ona? Raptownym podrzutem ramienia wyszarpnął głowę dziewczyny spod wody, unosząc ją nad falę, w tej samej chwili kątem oka dostrzegł sylwetki przyjaciół płynących ku niemu; źle musieli obliczyć kierunek, są jeszcze daleko. Prawym ramieniem zagarnął dziewczynę pod plecy, tak by głowa jej spoczęła w dołku jego pachy. Na wznak, wspomagając lewe ramię uderzenia mi nóg, mógł płynąć ze swoją zdobyczą do brzegu. Żeby tylko nie było za późno. Ona i teraz nie mogłaby złapać powietrza, fale coraz to przewalają się nad nimi, przy pierwszym otwarciu ust zakrztusiłaby się na amen. Wcale teraz nie wydaje się ciężka, drobna jest jakaś, wychudła.

Silniejsza fala chlapnęła nad nimi, zakryła, następna wyniosła ich nieco w górę, dojrzał wtedy brzeg ze stłoczoną ciżbą ludzką, dziwnie teraz daleki ten brzeg, czyżby zносиło ich, on zaś nie miał siły, by przeciwstawić się naporowi prądu? Mocniej uderzył nogami. Poczł znowu, że płyć, posuwają się, sekunda za sekundą pas plaży zbawczo się zbliża. Przebiegła mu przez głowę niedorzeczna myśl, że może i Danką już tam stoi wśród innych, przejęta, zderwowana, musi jej przyjemnie być na myśl, że to właśnie on uratował dziewczynę. Bo teraz już pewne, że uratował.

Zdławiony krzyk, dostrzegł rozwarte, pełne panicznego lęku oczy rudej. Chciał ją przestrzec, krzyknąć, że powinna zachować spokój, nakryła ich fala, znów łykął potężnie wody i wtedy poczuł, jak dziewczyna gwałtownym szarpnięciem wrywa się z jego objęcia, a ręce chwytają go kurczowo za szyję i oplatają z niezwykłą siłą.

Szarpnął się, jedną dłonią usiłując rozerwać duszący go kurczowy chwyt, paraliżujący

mu ruchy. Zanurzyli się. Odbijając się nogami od wody, próbował teraz obydwoma dłońmi rozluźnić uścisk ramion rudzielca, chwycił powietrze, zduszone gardło już go nie przyjmowało, a ten chwyt był jak cęgi żelazne, jak jakieś okowy. Odpychał jej ręce, głowę, ciało, na moment zelżał ucisk ramion, udało mu się złapać nieco powietrza, ale zaraz ręce dziewczyny na nowo zwierzały się na jego szyi, może straciła przytomność, podświadomie tylko szukając w tym ruchu ratunku.

Teraz znów była ciężka, ciągnęła na dno jak kamień. Dusila. Czarne, czerwone, rude kręgi... Rude, czemu rude?...

Odczepić się od niej, oderwać ją od siebie, powietrza, powietrza... Matka dowie się pewnie z depeszy, zawiadomią koledzy. Marzył o takich pięknych domach, jakich Polska jeszcze nie znała, łudził się, że je będzie budował, robił projekty; naiwniak, głupi, na dnie nie trzeba domów, projektów, szkła ni żelbetonu, niczego nie trzeba... Matka, czy przeżyje i to...

Oddech. Jakże mało tego powietrza. Boże drogi, że też tak straszne jest uczucie tonięcia, tak zimno, ohydna ta zielonkawa woda.

Nie, nie może pozwolić, żeby tak mamie miało się skończyć. Szarpnął się jeszcze raz, wparł się całym sobą w dziewczynę, dłońmi, nogami, nic nie pomaga, jej uchwyt był silniejszy niż jego nadwątlone siły. Znów zielonkawo, płuca rozsadza coś, czarne, czerwone płaty, już nie płaty... Matka, depesza, domy z aluminium jasne jak słońce, jak niebo... A teraz czarno, tylko czarno...

I nagle oddech, powietrze, zelżał ucisk na szyi, już w ogóle nie ma tego ucisku.

— Szymku, trzymaj się mnie! Mam ją, nie bój się. Zaraz przyplynie Florek... Szymek, ogłuchłeś? Szymon! Szymon!

Teraz dopiero pojął. To Lutek. Lutek jest tu. No tak, płynęli z Florkiem, fala odrzuciła ich na bok. Więc jednak uratują się, będą uratowani, on i ta ruda, brzydka, o twarzy bladej i powleczonej sinymi cieniami, o rękach jak kleszcze...

Wsparł rękę o bark towarzysza. Ale nie miał już siły, by drugim ramieniem wojować z wodą, nogi bezwładnie ciągnęły do dna.

— Florek, winduj babkę, tylko uważaj, żeby cię nie złapała jak Szymka... Ja jego holuję.

Niemocy, która go ogarnęła, nie potrafił przezwyciężyć nawet wstyd. Cieszył się opinią świetnego pływaka, startował swojego czasu w mistrzostwach okręgu, czuł się w wodzie jak ryba, aż tu nagle taka historia. Kto by się spodziewał, że tak go zdusi kurczowo, sprawi, iż z ratującego stanie się ratowanym. Tam na brzegu może być Danką...

Poddał się spokojnym, równym ruchom Lutka, niekiedy tylko niezgrabnym wyrzutem nóg starał się dopomagać koledze. Przed oczyma mgła, dławienie w piersiach, pieczenie w gardle, zupełny bezwład... A tam Danką...

Wspomnienie dziewczyny dodało mu sił. Otworzył usta, właśnie przewalał się nad nimi spieniony bałwan, napił się wody. Tym razem orzeźwiła go.

— Już poradzę, puszczaj mnie, Lutek — nie wiedział, szepce czy krzyczy.

Kompan odwrócił ku niemu głowę.

— Nie szalej... Naprawdę możesz?

Puścił. Fala podrzuciła ich w górę. Spływając z nią, zamachał ramionami. Słabe były, mdlały, jakoś chyba dobrnie do brzegu o własnych siłach. Ależ tam tłoczno, pół plaży pewnie się zbiegło oglądać widowisko. A gdzież jest Florek z rudą dziewczyną? Boże, jakie te nogi niemrawe, ledwie tłuką o wodę. Serce wali, gdzie tam wali, dudni jak pociąg w tunelu. Lutek znowu podpływa, w błysku jego spojrzenia niepokój.

W odpowiedzi skrzywił gębę w kwaśnym uśmiechu.

Kiedy wreszcie dotknął nogami piachu, pojął, że gdyby jeszcze kilka metrów więcej, nie byłby już poradził. Choć i tu jeszcze niełatwo, ustać nie można, fala odboju dołem podbija nogi, wali w nie drobinami piachu, jakby kto kłuł szpilkami. Trzeba wyskakiwać nad falę,

wraz z nią płynąć do brzegu. Tyle że już się można odbić nogami od gruntu.

Na płyciźnie przystanął na czworakach, był zbyt słaby, by na stojąco przeciwstawić się prądowi. A że tam wszyscy się gapią, powrzaskują coś, to nieważne. Dopiero niedawno myślał o matce, o depeszy do niej, o pogrzebanych marzeniach. Trzeba się tylko cieszyć, że żyje. Dziewczynę też uratował... Czemu ci ludzie tak wyciągają ręce w kierunku morza, co tam się znowu dzieje?

— Szymek, winduj się już na piasek... Coś tam Florkowi nie idzie.

To głos Lutka. Więc i on już zauważył. Trzeba by pomóc, ba, ale jak, sam się gramoli niezgrabnie jak niemowlak do brzegu. Nikt już zresztą na niego nie patrzy, przejęci są wszyscy tamtymi. Nareszcie, suchy piasek, przyjemny, mięciutki, nagrany słońcem. Już nie ta zielonkawa, słona i gorzka zarazem woda, nie przeraźliwie blada twarz dziewczyny, nie kurczowy uścisk jej rąk...

Odruchowo pogładził się po szyi, jakby czuł tam jeszcze ślady desperackiego uścisku. I zaraz podniósł się, choć na moment od tego wysiłku aż mu w oczach pociemniało. Co z Lutkiem, Florkiem, z rudą dziewczyną? Ktoś z tupotaniem, ciężko dysząc, przebiegł obok, obrzucając go drobinami piasku. To ratownik. Teraz przerażony śpieszył, aby udzielić pomocy, chociaż pod koniec ratowniczej akcji... Tłum się kotłuje na brzegu, trudno coś dostrzec.

Podszedł parę kroków. Zobaczył... Lutek włókł przez wodę dziewczynę o rudych włosach. Musiała być nieprzytomna, ciało jej przewalało się jak miękki worek. Są już blisko brzegu... Ale gdzie Florek? Ratownik płynie, dobrze pływa, musi znać miejsce, w którym znajduje się Florek. Ale czemu go nie widać? Co się stało?

Przejął go straszliwy lęk... To przez jego niezaradność, przez zwyczajną głupotę. Powinien był wiedzieć, że tonący zawsze usiłuje kurczowo uczeplić się ratującego. Nie dopilnował ruchów dziewczyny, naraził kolegów. Lutek okazał się dzielny i wytrzymały nad podziw, ale Florek utonie teraz, a jego nie opuszczą już nigdy wyrzuty sumienia.

Nie patrzył już na nic. Ślaniając się jeszcze na nogach pobiegł brzegiem i rozpychając tłoczących się gapiów wskoczył do morza. Chłód wody orzeźwił go, przywrócił mu siły.

Od brzegu usłyszał krzyk, jakby swe imię. Nie oglądał się, płynął w stronę, gdzie tam i sam bezradnie się kręcił ratownik.

— Wariacie, chcesz utonąć? Zawracaj, idioto! — w głosie Lutka brzmiał gniew, pomieszany z nutką podziwu.

Szymon zobaczył go teraz obok siebie.

— Zawróć, spisałeś się dzielnie, ale nie wolno szarżować, ja popłynę wraz z Lutkiem...

Danka. A skąd ona się tu wzięła?

Nie odpowiedział, mocniej wparł się ramieniem w wodę. Fala burzyła się mocno, coraz to zalewały ich nadbiegające jeden za drugim bałwany.

— Ma go! — okrzyk Lutka przebił szum morza.

Tuż przed nimi borykali się z mocniejszą w tym miejscu falą odboju ratownik i Florek. Chłopak szarpał się, wrywając się z rąk tęgiego, rosłego faceta.

— Co jest? — Lutek podsunął się pod nalaną gębę ratownika.

— Gość koniecznie chce sam płynąć. A był już pod wodą. Nie mogę pozwolić... — urwał, zakrztusił się.

— Lutek... — w głosie Florka dźwięczała serdeczna prośba.

— Poradzi już sobie sam... Będziemy zresztą tuż obok.

— Kiedy ja nie mogę pozwolić...

— A gdzieś był przedtem, ciapciaku? Gdy ta ruda tonęła, co? — warknął Lutek.

Twarc osiłka zmieniła się, ale więcej nie oponował. Całą piątką płynęli teraz przezwyciężając falę. Już blisko, jeszcze trochę, woda nieco powyżej kolan, podnieśli się, szli brodząc do brzegu.

— Co z tą rudą? Nawet niebrzydka, zgrabna... — odsapnął Lutek, dumnie nadymając pierś przed Danką.

Ona jednak przyglądała się nie jemu, lecz tłumowi na brzegu. W pewnej chwili, wśród dziesiątków na wpół nagich postaci, wyłowiła rudą plamę. Dziewczyna, podtrzymywana przez paru młodych gorliwców, siedziała już, nadal tylko śmiertelnie blada. Pokaszliwała.

— Na drugi raz radzę koledze pilnować swojego. Udało się, ale gdyby inaczej? Poszedłbyś kolega do mamra i tyle. Topielczyni i tak by zresztą to nie pomogło. Cześć — sucho powiedział do ratownika Lutek, ścisząc głos, by poza nimi nikt inny go nie słyszał.

— Czy panowie podadzą to dalej? Musiałem odejść na chwilę, od rana nie jadłem, kto by się spodziewał, że właśnie wtedy...

— Warto by sprawić koledze solidne manto... Siedź teraz spokojnie i tylko pilnuj swojego — uspokoił go Szymek.

Podeszli do rudej dziewczyny. Ktoś zarzucił na nią prześcieradło kąpielowe, drżała bowiem jak w ataku febry. Powoli rumieńce wracały na twarz, oczy nabierały żywszych blasków. Mogła się podobać.

— To panowie? Panowie mnie uratowali?

— Uratował ten pan, musi pani głowę zadrzeć do nieba, by go zobaczyć, mama i tata przydali mu jakąś złą miarę. My tylko kibicowaliśmy wyczynowi.

— Tonęliśmy już razem i gdyby nie Lutek...

— Tere fere, to dalszy ciąg, zupełnie nieważny. A dla ścisłości, największą robotę odwalił tu Florek. On panią przyholował aż do brzegu...

— Tam dołem cholerna siła odboju, Ścięło mnie z nóg, rzuciło na głębiej, zakrzusilem się, dobrze, że mi wtedy zabrałeś pannę z ramion... Ty masz w ogóle cholerne szczęście, Lutek, do kobiet — Florek miał minę mocno kwaśną.

Szymon zauważył, jak Danką spoglądała na Lutka jasnymi, ciepłymi oczyma. Zrobiło mu się bardzo smutno.

— Dziękuję panom... Gdy się trochę lepiej poczuję...

— Zaraz przybędzie lekarz — powiedział do niej ratownik, gorliwy teraz w pełnieniu swych obowiązków.

Tłum rozchodził się powoli. Sensacja minęła, dziewczyna żyła, cóż tu jeszcze mogło być ciekawego? Lutek odprowadził wzrokiem paru lowelasów w komisowych modnych spodenkach.

— Gówniarze! — syknął. Do wody nie pofatygował się żaden, pewnie, to ryzyko... Oho, czarna flaga, zakaz kąpieli. Stara się nasz ratownik.

— Chodźcie, ulokujemy się gdzieś dalej. Chcę wam opowiedzieć, oo mnie dzisiaj spotkało dziwnego — szepnęła Danką, pociągając za sobą całą kompanię.

— Dziwnego? Co za dzień, same sensacje, przygody. Chodźmy posłuchać. Danką, prowadź! Cała reszta odmaszerować za naszym wodzem w spódnicy!

Szymon przyglądał się idącej obok dziewczynie. Zawsze niezmiernie żywa, pogodna, teraz szła dziwnie skupiona. Drobniutka, zgrabna, od pierwszej chwili spodobała mu się, a teraz chyba zakochał się w niej bez reszty. Co się mogło Dance dzisiaj przydarzyć?

(II) Dziwni faceci z volvo

Teraz, gdy minął stan nerwowego napięcia, nastąpiła reakcja, poczuli się znużeni, wypompowani z sił. Jeszcze przed chwilą rozgadani, zamilkli, nikomu nie chciało się otwierać ust. Miękkie, nagrzany piasek leniwie, niebezpiecznym ciepłem przenikał ciała, powieki się przymykały, monotonne bicie fal o brzeg także działało usypiająco. Najbardziej zatłoczone odcinki plaży zostały daleko za nimi.

Już nadchodził koniec sezonu. W tych ostatnich dniach sierpnia przeredziło się na ulicach, w samym Kołobrzegu łatwiej było o pokój, mniej samochodów przemykało szosami.

Tylko pogoda od dobrych dziesięciu ranków starała się wynagrodzić chłód i szarugę poprzednich okresów. Słońce grzało mocno dzień za dniem, morze pocieplało, ciągnęła plaża.

Szymon spod oka Obserwował Dankę. Zmizerniała ostatnio. Trafiła na wykańczaną budowę, tempo tam wzięli niesamowite, wysłannicy inwestora, zakładów włókienniczych z Bielska, popędzali wykonawców, strasząc zaplanowanym terminem otwarcia domu sanatoryjno-wypoczynkowego. Opowiadała o cudeńkach, wyskakujących każdej niemal chwili. A to klamek z nagła zabrakło, a to sfuszerowano przewody wentylacyjne, trzeba było rozbijać dopiero co pomalowane ściany, gdzie indziej pojawiły się zacieki, w słońcu powypaczały się ramy okienne zrobione ze zbyt świeżego drzewa. Jedne brygady przeszkadzały drugim, wszyscy deptali sobie po piętach, nerwowi, rozindyczeni, skorzy o byle głupstwo do kłótni. Danka bardzo sumiennie traktowała swą praktykę, wykorzystywano to, spychając na dziewczynę coraz to nowe zadania. Musiało się to odbić na jej zdrowiu.

Oni lepiej trafili, jeżeli to można tak było określić. Ślamarzyło się z tym Domem Zdrojowym, podobnie jak z przysłowiowym już w Kołobrzegu hotelem. Obydwu z Lutkiem wepchnięto, tutaj na praktykę, pętali się, objiali z kąta w kąt, kierownictwo budowy wtedy było najbardziej z nich zadowolone, kiedy się w nic nie mieszało. Lutek nic sobie z tego nie robił, Szymona to jednak drażniło. Nie znosił partactwa, łataniny, oczekiwania, byle minął jakoś każdy kolejny dzień. W ubiegłym roku, w Solinie, było zupełnie inaczej. Tam się przekonał, co naprawdę znaczy robota...

Zetknęły się jego oczy z oczyma dziewczyny. Uśmiechała się leciutko, z pewnym przymusem. Milczała, nieskora do zapowiedzianych niedawno zwierzeń. I teraz przymknęła powieki w obawie, by nie zapytał o coś, nie przerwał tej chwili wytchnienia czy raczej zamyślenia.

Poznał ją przez Florka, on także był z Politechniki Poznańskiej, z tego samego pierwszego roku i z tej samej grupy co Danka. Praktykę odbywał przy dopiero dźwiganym od fundamentów obiekcie, darze górników śląskiej kopalni. Od tygodnia był wolny, przyjechał tu bowiem wcześniej od nich. Tak się złożyło, że od początku trzymali się całą czwórka.

Przyglądał się drobnej twarzy o leciutko skośnym kształcie oczu i trochę zadartym nosie, nadającym obliczu figlarny wyraz. Przy jasnych włosach tym mocniej odbijały ciemne oczy, ruchliwe, nie umiejące spocząć nawet na krótko.

Początkowo traktował Dankę jako morowego kumpla. Aż nadeszło to zupełnie zniecka. Co prawda jeszcze i dziś nie bardzo był pewien, czy się zakochał, czy po prostu tylko podoba mu się Danka. Niecierpliwie jej oczekiwał, gdy się spóźniała ze swojej budowy, co ostatnio stało się regułą. Ciepłej spływał mu po sercu każdy jej uśmiech, przy tym czuł, że zaczyna być zazdrosny o Lutka, częściej się do niego zwracała, długo umieli gadać ze sobą. Inna sprawa, że z Lutkiem każdy rad rozprawiał, wyszczekany był, obeznany w niejednym, a już znajomością twórczości Gałczyńskiego imponował dziewczętom, umiejąc na każdą okazję zabłysnąć stosownym cytatem. Może dlatego tylko i Danka tak z nim chętnie przestaje...

Z twarzy dziewczyny przeniósł spojrzenie na Lutka. Leżał z szeroko rozwartymi oczyma, śledząc na niebie rzadkie cumulusy i podobne do nich mewy, żeglujące wraz z podmuchami wiatru.

Znali się już ponad dwa lata, razem zaczęli wrocławskie studia. Zbliżyli się jednak dopiero na kołobrzesckiej praktyce. Zbliżyli się i kto wie, czy znowu się nie oddała. Z powodu Danki...

Pazoła wyczuł to spojrzenie, przestał gonić za chmurami i uśmiechnął się do przyjaciela.

*Prawie wszystko się stało, co się miało stać,
nie ukryje się ziemi ni niebu —
też usnij, mój mały, tylko spać, trzeba spać,
więc się nie budź.*

Głos miał miękki, wibrujący. Przyjemnie słuchało się Lutka. Danka odwróciła twarz w jego stronę, okręcił się na piasku Florek. Szymona załała złość. Czyżby Lutek odgadł jego myśli? Z nim zawsze tak było, jak machnie tym swoim Gałczyńskim, to może się zdawać, że cię przejrzał na wylot i strzela do ciebie osłaniając się tekstem poety.

— Sobie śpiewasz czy mnie? — zachnął się.

— Tobie. Miałaś takie maślane oczy jak człowiek bardzo senny albo jak zakochany sztubak... Czego się, Szymek, czerwienisz, zgadłem coś?

— A może byśmy się wykąпали? Krótco dziś siedzieliśmy w morzu — Florek po swoim próbował ożywić nastrój.

Udało się. Parsknęli śmiechem.

— Danka, miałaś coś opowiedzieć — przypomniał Florek.

— Może później?

— Teraz! — huknęli solidarnie.

— Bo ja wiem... Więcej mi się chyba zdawało. Sama zresztą zawiniłam najbardziej. Po cholere pakowałam się w tamte krzaki?

— Krzaki? O, to zaczyna być interesujące — Florek mówiąc to przezornie odsunął się od dziewczyny. — Tylko bez argumentów wyrażanych rękoczynami. Danka, ja cię nie poznaję, taka zawsze grzeczna, przyjemna, teraz tylko czekać, a staniesz na czele chuli-gańskiego gangu.

Nie zwracała na niego uwagi. Objęła rękami kolana, połyskiwała opalenizną napięta skóra jej drobnych nóg, kołysząc się leciutko, mówiła bardziej do siebie niż do nich.

— O dziesiątej mamy przerwę śniadaniową. Jak zawsze, zapomniałam zabrać coś ze sobą... Czasem rezygnuję z jedzenia, niekiedy przynoszę sobie kanapki z kiosku. Najbliżej do niego przez tę zakrzewioną część parku tuż za naszą budową. Wtedy tylko przeskoczyć przez, szosę i już... Dzisiaj też tamtędy pobrnęłam, czułam się nieco zmęczona, naganiałam się przy kontroli sieci wodociągowej.

Westchnęła, zamyśliła się.

— Muszę sobie dokładnie przypomnieć... Znacie to miejsce, prawda? Zielono tam, ładnie. Gdy docierałam już do szosy, odechciało mi się jedzenia, cieniście było, postanowiłam trochę odpocząć. Leżąc widziałam szosę, dołem poszycie krzaków jest znacznie rzadsze. Czasem przejeżdżał jakiś samochód, kręciło się trochę ludzi... Nie wiem, może nawet zdrzemnąłam się na moment, przymykałam oczy, zieleń w nich zostawała, było tak bardzo przyjemnie... Jakiś wóz zatrzymał się niedaleko, trzasnęły drzwiczki. Nie zwróciłam na to uwagi. Aż dopiero te głosy, niedaleko ode mnie. Przyciszone, ale mocne, jakaś złość w nich, zdenerwowanie. Nie wiem, jak wy, ale ja podobne nastroje z miejsca w ludziach wyczuwam.

— Źle wybrałaś budownictwo, należało raczej psychologię... — zaczął Florek, ale zamilkł na widok zaciśniętej niedwuznacznie pięści Lutka.

— Widziałam samochód, szwedzkie volvo, w nim jakaś dziewczyna, taki tapirowany kociak. Na skłonie szosy, tuż przy rowie, stało czterech facetów, gadało dwóch. Jeden z nich dziwnie wymawiał polskie słowa... Zrozumiałam niewiele, mowa była o płaszczach, że ktoś wpadł, siedzi, że jakaś kaucja, że się nie opłaca... I teraz sprawa musi być załatwiona inaczej, nie samochodem. Że to nie przejdzie... Drugi oponował twierdząc, że oni na czekanie nie mają czasu, taka zabawa nie dla nich, albo brać towar, albo koniec z interese. Im i tak tu depczą po piętach... Tamten wtedy zaśmiał się tylko, powiedział, że deptanie to lipa, a kupca drugiego z miejsca i tak nie mają. Statek będzie za trzy, cztery dni, najwyżej za tydzień. Do

tego czasu oni się z sobą nie znają... Facet trzeci o coś szeptem pytał kompana, potem zadukał po niemiecku, że *recht*, że *wird es gut sein*...

Oczy Lutkowi wyszły na wierzch. Uwielbiał podobne historie.

— Ten, który mówił dziwnym akcentem, i ten drugi, nazwałam go Niemcem, poszli zaraz do samochodu, trzasnęły drzwiczki, szurnęli z miejsca. Druga para gdzieś mi się zapodziała. Spojrzałam na zegarek, prawie dziesięć minut minęło od przerwy śniadaniowej. Zerwałam się, by biec na budowę i zaraz niemalże wpadłam w objęcia jednego z tych facetów...

— Co pani tu robi? — Idę. — Skąd? — Znikąd, z trawki, a pan jakim prawem mnie pyta? — Widziałas nas, słyszałaś? — Tylko bez tykania, nic mnie nie obchodzi wasze sprawy! — krzyknęłam to już ze złością.

— Fiuu — zagwizdał Lutek. — Aleś naiwna, maleńka!

— Pewnie, że naiwna. Faceci spojrzeli tylko po sobie. Wyższy, który głównie gadał z tamtymi dwoma, złapał mnie za ręce, zasyczał: —Więc pamiętaj, gołąbeczko, że cię to gównie obchodzi, nie próbuj się niczego domyślać ani mi nie włącz w drogę. Bo zduszę jak kurczaka...

Przestraszyłam się, szarpnęłam mocno, udało się, umknęłam w krzaki. Oni za mną, ale gdzie by mnie tam dogonili. Zaraz zresztą i nasza budowa, już się tam ludzie kręcili. Zawrócili z miejsca i tyle ich widziałam... Właściwie głupstwo i naiwność z mojej strony. Jacyś handlarze, waluciarze, pełno tu przecież takich, żerują na Szwedach i innych cudzoziemcach.

— Ale o jakim towarze mówili, że nie wozem? Waluta? Albo coś może innego? — zaciekawił się Florek.

— Mnie to naprawdę nic nie obchodzi — zachnęła się. — Otrzymałam nauczkę, żeby na drugi raz nie być głupia i nie wylegiwać się po krzakach. Idziemy do wody, obiecałam, opowiedziałam, a teraz dajcie mi spokój — werwa jej wyraźnie była robiona.

— Chwileczkę, Danka. Boję się o ciebie. A jak im wpadniesz gdzieś w oko, poznają cię? — Szymek był zaniepokojony.

— Będą udawali, że nie znają... Ani mnie, ani im to niepotrzebne. Aha, jeszcze jedno. Gdy po powrocie z domu szłam tu do was na plażę, kupiłam sobie porcję lodów i siadłam niedaleko pomnika Zaślubin z Bałtykiem. Gapiłam się na ten pomnik, bardzo go lubię, kiedy znów usłyszałam znajomy głos, mówił po szwedzku. Poznałam, to ci dwaj panowie z samochodu. Szli sobie spacerkiem w kierunku latarni, o czymś gadali. No i tyle moich przygód. Tak między nami, to strachu najadłam się mocno.

— Numeru auta nie zapamiętałaś? Volvo tutaj niejedno, co drugi Szwed przywozi promem taką maszynę...

— Masz zamiar ich tropić? — zapytał Florek.

— Ich raczej nie... Tamci dwaj mnie interesują. I też nie chodzi o ich interesy, diabła się na tym wyznam, durnia z siebie nie zrobię, bo co, przecież nie zamelduję milicji, okaże się, że są czyści i poruta jak jasny gwint... Chodzi o Dankę, grozili jej, może chcieli uderzyć...

— Daj spokój, Lutek, nie wygłupiaj się. Żałuję, że wam opowiedziałam, jeszcze zrobicie jakąś grandę. Nie, nie, maleńki ślad, pewnie wtedy, jak mu się wyrывałam, ścisnął mocno...

Na prawej ręce siniak był wyraźny, na lewej znaczył się trochę słabiej. Wszyscy trzej przypatrując się teraz tym śladom na przegubach rąk dziewczyny spoważnieli. Nawet Florek nie był skory do żartów.

— Takie syny! — zaklął Szymon. — Niechbym ich dostał w swe ręce!

— Co? Zaskarzyłbyś?

— Guzik. Znaleźliby alibi, że byli o tej porze gdzie indziej i tyle... Sam bym uciął małą pogawędkę z przyjemniaczkami.

— Pomógłbym ci z całego serca — przyłączył się Lutek.

Danka spojrzała po nich z wdzięcznością, ale też z lękiem. Diabli wiedzą, co gotowi narozrabiać. Niepotrzebnie im wszystko opowiadała. Skończyło się dobrze i nie ma co nawracać do całej historii. Zaśmiała się nieoczekiwanie.

— Ależ z was naiwniacy! Było zupełnie inaczej. Na budowie omal nie spadłam z rusztowania, w ostatniej chwili jakiś robotnik złapał mnie za ręce... Stąd te ślady. A tamto to bajka, zupełna lipa. Opowiedziałam to wyłącznie dla kawału.

Skwaśnieli. Mówiła zupełnie serio. Czyżby naprawdę nabrała ich tym razem? Głupio spoglądali po sobie.

— Stop, Danka! Przecież u was rusztowania dawno już zdjęte, budynek otynkowany. Jeśli macie lada dzień odbiór... Czemu nas zbijasz z tropu? — obruszył się Szymon.

Opuściła głowę jedynie na moment. Stosowała typowo kobiecą zasadę, by w podobnych sytuacjach odpowiadać atakiem.

— Czemu? Temu, że z wami nie można nic na spokojnie. Zaraz zaczynacie się wypytywać, już gotowi do jakichś chuligańskich rozróbek. Nic mi się nie stało, dostałam nauczkę i tyle. Obiecujcie, że...

— Bez żadnych obietnic... Nie chcesz, możemy na ten temat więcej nie gadać i tyle — zachnął się Lutek.

Zapadło milczenie przeciągające się nieprzyjemnie. Przerwał je dopiero głos Florka:

— Wiara, idzie nasza topielica... Już gładziutka, po makijażu. Niezła babka, jak pragnę poronić...

Odetchnęli z ulgą. Tym razem ruda dziewczyna pojawiła się w samą porę. Zgrabna i wcale niebrzydka; wtedy, zmoczona jak kura po burzy, wodząca niepewnie wzrokiem po plaży, wydawała się brzydsza.

— Cieszę się, iż nareszcie państwa znalazłam... To pan Miecio był tak uprzejmy i wskazał miejsce, gdzie państwo się znajdujecie.

— Koleżanko, albo już przez wielmożni państwo, albo przez koledzy. Pośredniej formy nie ma — Florek wysunął się przed kolegów.

— Dziękuję koleżance i kolegom — uważniej przyjrzała się Dance. — Przyszłam z podziękowaniem... Opowiadano mi. Któryś z panów omal nie utonął przeze mnie. Straciłam przytomność i wyprawiałam głupstwa. Boże, jak ja się bałam, jak bardzo się bałam, nie chciałam umierać, tonąć, chciałam żyć...

— To Szymika pani tak czule obejmowała, aż się chłopak zatracił ze szczęścia i razem pociągnęliście się na dno — zakpił Lutek, a potem wyciągnął ramię w kierunku Florka, głos jego przybrał ton namaszczony: — Proszę spojrzeć, oto pani ostateczny, prawdziwy wybawca. Gdyby nie on, nie jaśniałyby teraz pani włosy tak pięknie w blasku słonecznym, nie lśniłyby pełne uroku oczy... I w ogóle. Jemu więc niech pani dziękuje.

— Coś ty? — zachnął się Florek. — Nie rób ze mnie bohatera. W tej całej hecy główna twoja zasługa.

— Nie udawaj skromnisia. Pani daruje, ale on zawsze taki nieśmiały jest przy kobietach. Nie zepsuty, wie koleżanka... Rzadkość dzisiaj u młodzieży, prawda?

— Koledzy kpią sobie ze mnie. A ja naprawdę chciałam bardzo serdecznie podziękować. Przecież tylko dzięki wam żyję...

Oczy jej posmutniały, chwila, załzawią się. Lutek czuł na takie objawy, zatrzepotał rękami.

— Już, już... My zawsze wolimy ze wszystkiego raczej żartować, niż przesadzać w powadze. A Florek uratował panią naprawdę. Ja wtedy musiałem windować tego drągala, ale on zbuntował się i zdecydował, że sam dopłynie do brzegi. Ominęły mnie zatem wszystkie tytuły do medalu za ratowanie tonących... No nic, Florek, w imieniu nas wszystkich zainkasuj od pani podziękowania. Proszę tylko nie przejmować się, że on taki nieśmiały i nieobyty w towarzystwie dam... O, widzi pani, chce mnie bić.

Florek był zły, Danka chichotała, wrócił humor także Szymkowi.

— Niechże koleżanka siada obok nas. Proszę — korzystając z tej okazji, przysunął się sam możliwie blisko do Danki.

Lutek przybrał dostojną pozę, stojąc przed całą gromadką, palce wyciągnął w kierunku dziewczyny, zadeklamował:

*Ona była ruda, ale niezupełnie — pewien połysk na włosach
grasował — żyła z Finkiem. Fink był reżyser.
Przez snobizm komunizował (są tacy też — na Mazowieckiej)
A Inge? Inge miała w sobie jakiś smak niemiecki,
ten akcent w słowie „Mond” — księżyc... der Mond in Monde...
A Fink był dureń i blondyn...*

Urwał, sam ryknąłby śmiechem, widząc roześmiane gęby całego bractwa i zdziwioną, wyraźnie ogłupiałą minę rudej dziewczyny. Podniosła ku niemu twarz, złą i niepewną:

— Pan o mnie? Czemu się pan nabija? Bzdury jakies. Jaki Fink? Jaki reżyser... I ten niemiecki... Czego pan chce ode mnie?

— O rany Julek, trzymajcie mnie, bo się uduszę, udławię się z radości! — Szymon za brzuch się trzymał i fajtał nogami. Danka skryła twarz w piach plaży. Florek początkowo również się śmiał, ale potem zlitował się nad dziewczyną.

— Przecież pani to zna... Wiersz Gałczyńskiego, „Inge Bartsch”. Coś mu się przypomniało, pewnie ten kolor włosów.

— Kasztanowy — powiedziała.

— No pewnie, że kasztanowy, żaden tam rudy, ojej, coś mnie ugryzło... — nawet Florek musiał się pochylić nad nogą, by zdławić śmiech.

Dziewczyna podniosła się urażona.

— Więc jeszcze raz bardzo dziękuję. A tak się wyśmiewać, to nieładnie. Ja...

— Odprowadzę koleżankę — wcale ochoczo ofiarował się Florek.

Ciągle się śmiejąc odprowadzali wzrokiem oddalającą się parę. Dziewczyna nie była nazbyt łaskawa dla Florca, próżno jej nadszakiwał. Trzymała się sztywno, patrzyła kędys przed siebie.

— Oj, coś tu Florek niewiele ustrzeli — zafrasował się Lutek.

— Nie bój się, poradzi sobie...

— Dawno się tak nie śmiałam. Inna sprawa, wstyd tak maltretować człowieka. Przyszła podziękować, a ty od razu...

— Jakże, cytowałem poetę, nic więcej...

— Dajcie spokój, idę się kapać.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI